



Kształcenie charakteru.

Wyraz „charakter“ pochodzi od słowa greckiego, które w języku polskim znaczy tyle co rzeźbić, żłobić. Można rzeźbić pewne rysy w skale, metalu, a tak wyłobione, pozostaną one na długie lata niezmiennie.

Podobnie jak wykute w metalu lub na skale rysy zostają niezmiennie, powinna być wola człowieka, cały jego sposób postępowania, stały i niezmienny, i wtenczas mówimy o człowieku, że ma charakter.

Bez charakteru jest człowiek, który jak chorągiewka, raz na tę — to znów na inną przerzuca się stronę; raz coś gani, a gdy ma przeciwnikowi stanąć w oczy, to znów to samo, co przedtem ganił, będzie chwalił. Bojaźń ludzi dużo u niego znaczy; na człowieku bez charakteru nie można polegać, bo nigdy nie wiadomo, jakim będzie za chwilę. To się zerwie do dobrego, a niedługo znów upadnie i stoczy się w przepaść.

Człowiek z charakterem zaś podobny jest do granitowego słupa lub potężnej wieży; choć wichry, bałwany morskie i burze zewsząd je otaczają, stoją one silne

i nieporuszone do końca. Tak i człowiek z charakterem. Może wprawdzie upaść i on, bo trudno o człowieka bez błędu i wady; jednakże u człowieka z charakterem upadki będą zupełnie przypadkowe i wyjątkowe. Wiemy, że on się dźwignie; będziemy przekonani, że zawsze na niego liczyć możemy, pozostanie on wierny swoim przekonaniom pomimo trudności i przeciwności. Takich ludzi o dobrym charakterze potrzebujemy koniecznie.

Tylko ludzie silnego charakteru są zdolni do wykonania pracy na swoją i innych korzyść; tacy tylko ludzie przetrzymają zewnętrzne i wewnętrzne przeciwności, oni tylko odważną i silną dłońią poprowadzą bieg swego życia na spiętrzonych falach codziennych kłopotów. Człowiek z charakterem zachowa równowagę duchową i cichy spokój wewnętrzny wśród niepokoju światowego; on tylko znajdzie u współbraci zaufanie, które się opiera na jego wierności, prawdomówności, sprawiedliwości, a w ten sposób zdolny jest wypełnić miejsce, na którym Bóg go postawił wśród społecznej ludzkości.

Naturalnie, kształcenie charakteru nie jest łatwe, owszem, jedne z najtrudniejszych zadań wychowania.

Zaporę wielką stanowi już słabość i

zmiennność naszej woli. Raz człowiek chce tego, drugi raz czego innego, a zawsze to, co złe i fałszywe, przychodzi nam łatwiej i bardziej nas do siebie pociąga.

Wolę naszą słabą, zmienną, przechylającą się raz na tę, drugi raz na inną stronę, nasze ciągłe wahanie i bezsilność, nasz brak wytrwałości — to wszystko mamy przekuć na siłę i wytrwałość, na moc ducha i dobroć niezmienną. Zaiste, nie łatwe to zadanie.

A dochodzą do tych wewnętrznych trudności przeciwności zewnętrzne. Na każdym kroku w domu a nawet i poza domem, otaczają nieprzyjaciele silnego charakteru, każdego człowieka i każde dziecko. W domu dziecko już spotyka się to ze zniewieścią, to z zaniedbaniem, gdzieindziej znów ze złe użytym dostatkiem i bogactwem, a gdzieindziej z biedą i nędzą; samolubstwo prowadzi innych do szukania tylko własnej korzyści.

A poza domem ileż to niebezpieczeństw czyha na każdego! Lekkomysłni przyjaciele i koledzy, złe i zgubne pisma i książki, nieuczciwość i nierzetelność, rozwiążność w mowie i rozpusta.

W takim środowisku wzrasta dzisiaj dziecię, przebywa dorosły, zewsząd niebezpieczeństwo tworzenia się silnych charakterów. Dla tego w czasach obecnych do rodziców i wszystkich wychowawców występuje tem energiczniejsze żądanie: Wyteżajcie wszystkie siły, aby dziecko uczynić moralnie silnym i mocnym człowiekiem, aby wyrobić w niem dobry charakter. A ponieważ tylko wychowawca, który sam posiada silny charakter, może go przyswoić innym, dlatego to wielkie zadanie czeka nas wszystkich. Tylko z rącej a wyteżonej pracy możemy oczekiwać dobrych owoców.

Piosnka z oddali.

Serce mi się wciąż wyrывa
Do dalekich moich stron, —

Do tej ziemi ukochanej,
Serce mi się wciąż wyrывa.

U nas teraz we wsi żniwa,
Złotokłosa pada plon,
Śpiewką żeńców dźwięczą łany,
Głos po niebie się rozplywa.

A na kłosach wiatr przygrywa,
Jak na harfie wyłaczanej,
Śpiewką żeńców dźwięczy niwa,
Na południe bije dzwon.

I przy drodze wierzba siwa
Da gromadzie spracowanej
Cień blaskami przetykany —
A mnie pośród obcych stron,

Snią się ciągle takie żniwa,
I te wierzby i te łany,
I do ziemi ukochanej,
Serce mi się wciąż wyrывa!

L. Rydel.

Z dobrych rad.

Chcesz być czemś w życiu, to się ucz,
Abyś nie zginął w tłumie:
Nauka — do potęgi klucz,
W tym moc, kto więcej umie.

Bo wiedz — nie popchną tego wstecz,
Ani pochłona fale,
Kto umie choćby jedną rzecz,
Lecz umie doskonale!

Iynacy Baliński.

Ostatnie chwile.

— Jegomość! Wstawajcie! Do chorego trzeba...

— Co? Do chorego? Po dyaka niech skoczą. Niechaj cerkiew otworzy i wszystko, co rychlej przygotuje. Ja zaraz wstanę.

Służąca zamknęła drzwi i słycać było, jak w kuchni powtarzała zlecenie jego-
mości.

— Do chorego... Cóż robić! Iść trzeba, a spać tak dobrze...

Nigdy sen nie wydaje się tak smacznym, jak wówczas, gdy nam spać nie dają. Poprawił kołdrę i na chwilkę przymrużył powieki. Myśl o chorym przypomniały mu dzwony i pod wrażeniem ich dalekich, niewyraźnych dźwięków, zasnął na nowo.

— Jegomość, proszę, dyak już dawno czeka!...

— Czekaj? Powiedz że idę...

I za godzinę, ulicą wiejską ciągnęły dwie postacie. Tonęły we mgle, jakby w mlecznem morzu i nie widziały siebie.

Na odgłos dzwonka, ostry, przenikliwy, klękali przechodnie, jako się klękać godzi, kiedy ksiądz idzie z Bogiem.

Na dworze był jesienny przymrozek, wiejskie, jak ciasto w dzieży rozmieszane, błoto ścieło się i świeciło brudnymi kryształami, które łamały się pod nogą i wydawały chrzęst lekkie.

Ksiądz poczuł zimno ostre i wartko się spieszył, dyak za nim kroczył w ślady i co parę kroków dzwonił. Tak przeszli długą ulicę i stanęli przy studni, obok szkoły.

— To tutaj — rzekł dyak.

— Tutaj? — powtórzył za nim ksiądz, uważnie wsuwając się we wrota. Zdziwiony był, że nikt nie wyszedł na jego spotkanie, że ani sąsiadów, ani krewnych, ani wiejskich lekarzy, ni lekarek...

— Może to nie tu? — zwrócił się do dyaka.

— Tutaj, wiem dobrze. Toć Skrehoty chory. Wejdzmy.

Więc weszli. W chacie było cichutko, pusto, jakby wymiotti. Pościel na wyrku rozciągnięta, a chorego niema.

— Hej, jest tu kto? — zahuknął dyak, zaglądając do kuchenki i do świetlicy. Ale nikt mu nie opowiadał, prócz drobiu na bantach. Siedli na ławie i czekali. A tu i słonko zaświeciło i mgła się na chło-

pa od ziemi podniosła — w tem słyszą głosy: „A ciu, a ciu do chlewa!“

Stąpili na próg i ujrzeni staruszka bo-sego, z pomierzwionym włosom, jak uga-niał za podświnkami tłustawymi, chcąc je namówić, by zaszły do chlewa. Lecz one widząc jego niemoc i niedołęstwo, biegały po całym podwórku dookoła i zdradzały widoczną chętkę zagładnięcia w ogród, tembardziej, że płot był lichy, a furteczka nędzna.

Staruszek krzyczał, nawoływał, wło-cząc za niemi bezustanku swe bezsilne nogi.

Ksiądz patrzył czas jakiś, wreszcie poczał się niecierpliwić.

— A co to — powiada — co wy so-bie myślicie? Wyciągacie mię z łóżka nie wiedzieć po co i na co! kto u was chory?

Stary popatrzył i przytaknął głową.

— Ta to ja, proszę jegomościa, to ja umieram.

Tego już księdzu zdawało się za dużo.

— Co to kpicie sobie ze mnie, czy jak? Umiera mówi, a za bezrogami goni po całym obejściu!...

— A jakże proszę ojca duchownego? Jak wyszły, to trza zapędzić. Poszły w ogród, albo do sąsiada... a ciu!

I kto wie, jak długo byłyby trwały te wyścigi, gdyby nie dyak. Położył dzwo-nek, czerwoną latarnię i podążył staremu na pomoc.

Wieprzki, widząc tak poważną osobę, w tej chwili zaszły do chlewa. Staruszek jeszcze raz pogroził im z pola i zamknął drzwiczki na grabowy kołek. Teraz do-piero podszedł do kapłana i pocałował go w rękę.

— Niech też jegomość nie gniewają się na mnie... Bo jak to zwykle: wyszły, to trza zapędzić do chlewa.

Ksiądz proboszcz zmiękł. Miał serce dobre i wyrozumiałe.

— Ja nie gniewam się na was, — odrzekł już łagodniej — lecz trudzić mię bez naglącej potrzeby, to niesumiennie. Wy przecie moglibyście w niedzielę przyjść do cerkwi i wypowiadać się.

— Boże ty mój! W jaką niedzielę? Ja przecież do południa, kto wie czy dociągnę... Ciało mi cierpło, by spowiedzi doczekać! Bóg widzi, że nie kłamię.

— Będziemy to widzieć — myślał kapłan, wstępując do izby. Staruszek tymczasem zboczył do komórki i przebrał się. Wnet wrócił biały, uczesany. Ksiądz nie spieszył się — nie widział potrzeby. Rad zaś był pogawędzić ze starcem, który, mając umierać koniecznie, wieprzki zapędzał.

— A dawno-ście chorzy? — pytał siadając na ławie.

— O dawno, dawno. Tak niby boleć, to mię nic nie boli; ino siła ze mnie wyszła i już jej w kościach nie czuję. Siła wyszła, a niemoc wstąpiła i zimno jakieś zakrada się do piersi: wyraźnie śmierć?...

— I tak sami siedzicie jak pustelnik? Zdrowemu człowiekowi samotność niemiła, a cóż dopiero...

— Ja też, proszę księdza, nie sam. Mam dzieci, dobre dzieci. Grzech byłoby narzekać.

— Dobre dzieci, powiadacie, a o staroego nie dbają.

— Dbają, ojcie duchowny, dbają. Dziś żadne z chaty wyjść nie chciało. Obstąpili mnie i płaczą. Ale ja mówię: Po co tu płaczecie? Idźcie każde do swojej roboty. Mnie tu nikt nie ukradnie, nie bójcie się... A jak mam umrzeć, to i bez was umrę. Ty, Hryńku, powiadam do starszego syna, idź na pole! Rola gotowa, dawno obsiać trzeba. Może przyjsię pogrzeb i znowu się przewlecze, a tu patrz, już przymrozki biorą. Ty — powiadam do córki — idź mi do miasta i kup, co potrzeba. Przyjdzie co do czego, to tutaj u naszych żydów dwa razy drożej. Synową posłałem do sąsiedniej wsi, aby dała znać swoim, a zięć miał pójść do księdza i wstąpić do cieśłów. — Zostałem oto sam i spokojnie leżę sobie na pościeli, gdy słyszę: podświńki wyszły... Patrę przez okno, ryjkami wrota podnoszą. Trza je zapędzić pomyslałem — powlokłem się jakoś, Bogu niech będzie chwała, zapędziłem. A ojciec duchowny niech się nie gniewają na mnie, bo ja już teraz naprawdę będę umierał...

Pocałował księdza w rękę i zapewnił go święcie o swojej słabości.

— No i jakże to, nie przykro samemu?

— I nie straszno? — dodał od siebie dyak.

Czego się lękać? Nikogo człowiek nie zabił, nikomu życia nie skrócił, nikogo też nie okradł. Przeżył swoje i wynos się... To tak jak ten robotnik w polu. Ukończył pracę i hajda do chaty! Alboż nie pora? Już drugi miesiąc, sprawiedliwie mówiąc, chleb święty trwonię. Siła odleciała, nie robić nie zdolę, a nadaremnie zdzieci objadać, to jakoś nie pięknie. W gardło nie idzie. Ot, Bogu dzięki, że koniec nadchodzi... Czego ja się mam bać? Dzieci na ludzi wyprowadziłem, rozumu nauczyłem i wyposażylem... czegoż więc trzeba?

— Możemy zaczynać — odezwał się pleban, wzruszony do żywego słowami staruszka.

— Zaczniemy z Bogiem — odpowiadał tenże, żegnając się z powagą trzy razy.

* * *

Co tylko ksiądz powrócił do domu i brał się do śniadania, gdy z dzwonnicy odezwały się dzwony: „Bam, bam, bam!”

Stary Skrehota zmarł.

Pszenica zasiana i podświnki w chlewie, córki z miasta ino nie widno — mógł spokojnie umierać.

Złote ziarnka.

Nie łaknij spoczynku, kiedyś stworzony do pracy!

— o —

Na wyższych fundamentach wyższy mur stać może,
I wyższy rozum tylko na głębszej pokorze.

— o —

Przędź się złodziej przyzna że ukradł, niż uczony, że głupstwo powiedział.

Jeszcze nigdzie takiego człeka nie widziano,
O którymby jakiego „ale“ nie słyszano.

— o —

Na tym świecie, wy to wiecie,
Różnych wiele dróg —
Ta nie zmyli w żadnej chwili,
Której celem Bóg!

— o —

Bez cnoty i roztropności,
Nauka nie ma wartości.

— o —

Koniec życia ludzkiego
Jest końcem dnia właśnie;
Im kto szczerzej pracował —
Tem spokojniej zaśnie.

Rady gospodarcze.

Ogórki kwaszone. Dno czysto wymytej beczułki dębowej wykłada się liściem winogronowym, wiśniowym i koprem, na to układa się czysto wytarte świeże ogórki. zerwane w pogodę (zrywane i kwaszone po deszczu psują się), a nie mające żadnej szkazy. Na te ogórki daje się liścia dębowego i winogronowego, i tak, przekładając warstwami, raz liści raz ogórków, napęnia się beczkę. Wstawia się dno i otworem szpuntowym nalewa się pełno solonej wody. Na jedną kwartę wody liczy się kopiasta łyżka soli, dobrze się miesza i zalewa ogórki. Po zalaniu wodą otwór zaszpuntuje się; gdyby na drugi dzień wody było zamało, to się dolewa posolonej wody, jak powyżej podano. Otwór zalewa się lakiem, a beczkę stawia się w piwnicy na dwóch polanach. Z początku tacza się dwa razy na tydzień, żeby ogórki jednakowo kwaśniały.

Drugi sposób jest następujący: Zebrane ogórki moczy się kilka godzin w zimnej wodzie studziennej, potem wyciera każdy płótnem albo szczotką, żeby zielo-

ny nalot troszkę obetrzeć. Przygotować korzenie: selerów, pietruszki, cebuli po kilka sztuk, stosownie do wielkości beczułki, w której mamy kwaszić, trochę liści czarnej porzeczki i kopru. Ogórki układa się najlepiej w beczulce dębowej, przekłada przygotowanymi korzeniami, następnie zalewa wodą przegotowaną i osoloną. W każdych 12 kwartach wody rozpuszcza się funt soli. Po napełnieniu beczułki zaszpuntować, albo ogórki przycisnąć denkiem. Niektórzy dodają jeszcze spirytusu w stosunku pół kwarty na garnek wody.

Gęsi do chowu można jak wiadomo, trzymać lat kilkanaście, nawet lepsze są na ten cel gęsi starsze, gdyż więcej jaj znoszą i lepiej je wysiadują. Należy tylko od czasu do czasu postarać się o gąsiora z innego stada — nazywa się to odświeżaniem krwi. Nowego gąsiora należy sprowadzić wcześniej, aby gęsi przyzwyczaiły się do niego, zanim nieś się zaczyną, w przeciwnym razie jest niebezpieczeństwo, że gęsi gryzłyby nowego gąsiora, a jaja niosłyby niezapłodnione. Gęsi, przeznaczonych do chowu, nie należy żywić zbyt obficie, gdyż przez to stają się leniwe, zaczynają się nieść o wiele później i znoszą jaja o miękkiej skorupie. Najlepiej wypuszczać je codziennie na dwór bez względu na stan powietrza. Jeżeli niema śniegu, wychodzą gęsi chętnie na pastwisko, szukając zeschłej i zmarzłej trawy, którą chciwie zjadają. Gdy śnieg wszystko okryje albo też mroźne nastaną wiatry, wtedy wystarczy gęsiom jakakolwiek szopa dla ochrony. Tam można im porzucić marchew, ćwikłę i t. p. Wieczorem dopiero dać trochę owsa lub kukurydzy, ale nigdy tyle, aby gęsi tłuszczać zaczęły.

Rady zdrowia.

Śmiertelność wśród dzieciaków podczas upałów. Z nastaniem gorących dni letnich,

zazwyczaj wzrasta liczba wypadków śmierci między dziećmi i to następuje nieraz już w 8 dni po nadejściu upałów. W kilku tygodniach, śmierć wyrywa od łona matek, dziesiątą prawie część niemowląt, zwłaszcza po większych miastach, a ten pomór znika dopiero z nadejściem chłodniejszego powietrza.

Ten każdoroczny wzrost letniej śmiertelności, wydaje się już wielu matkom, jako rzecz nieunikniona, a jednak przyczyna jego leży właśnie przeważnie w złe zrozumianej i nieroztropnej troskliwości matek, które z wielkiej miłości dla dziecka — a czasem z niedbalstwa, same mu szkodzą przesadą w otulaniu lub brakiem uwagi.

Oto pomyślny. co każdy z nas dorosłych, czyni podczas letnich upałów: zrzucając z siebie ciężką odzież, ubieramy się lekko, otwieramy okna dla przewiewu, bierzemy kąpiele, w miejsce silnych, ciężkich potraw, używamy raczej owoców, jarzyn, mleka a położywszy się na spoczynek, przykrywamy się bardzo lekko.

Czyż nie powinniśmy tych samych dogodności dać i dzieciętom, których natura przecie równie tego wymaga? Czemuż matki tak ciasno krępują powijakami te biedne istotki, lub zapinają w poduszki, jakby im uciec chciały, choć jeszcze chodzić nie mogą — albo zakrywają je pierzynkami, pod którymi tamte duszą się prawie z gorąca? Przytem choć dzieci, nie mają pragnienia, matki dręczą je nieraz mlekiem lub różnemi polewkami, tak, że z nadmiernego przeciążenia pokarmem, wytwarzają się choroby żołądkowe. w skutek przegrzania się, następuje też często biegunka z wymiotami i dziecko umrzeć musi.

Niech troskliwość matek będzie rozumna. Skoro więc nastąpi letnia pora a z nią ciepło, trzeba dać dziecku ubranie całkiem luźne, główka jego niech będzie całkiem wolna, równie jak nóżki, bez żadnych otuleń; zamiast pierzynki użyć do nakrycia bardzo lekkiego kocyka, który łatwo często wyprać można. Wszelkie fi-

ranki z łóżeczka zdjąć, aby dziecko nie zatrutowało się własnymi wyziewami, bo dla rozwoju płuc, potrzebuje czystego, świeżego powietrza. Potrzebuje też słonecznego światła jak roślina, tylko bezpośrednio na palące promienie słońca wystawiać go nie można.

Co do odżywiania, to wystrzegać się trzeba przeładowania dziecięcego żołądka; jest zawsze lepiej, gdy dziecko dostanie pożywienia cokolwiek za mało niż za wiele. Niemowlęta do 2 miesięcy życia, karmić należy co 2 lub 3 godziny; starsze, do 6-ciu miesięcy, coraz rzadziej, a później to już najwiecej 5 razy w ciągu doby.

Jeśli dziecię odłączone, ma po jedzeniu pragnienie, najzdrowszym dla niego napojem jest czysta woda bez żadnej przymieszki. Wymioty i biegunki są dowodem, iż w żołądku dziecka jest coś niestrawnego, czego pozbyć się usiłuje; nie należy więc mu wówczas dawać żadnego pokarmu, boby się chorobę pogorszyło.

Matka, która ostrożności te zachowa i rozropne umiarkowanie w odzieży i karmieniu dziecka zastosuje, uchroni je od niebezpieczeństwa letniego pomoru i okaże, iż jest rozumnie i prawdziwie kochającą rodzicielką.

Rozmaitości.

Płotkarstwo przyczyną nieszczęścia. W Hanowerze pewna wdowa popełniła samobójstwo, ponieważ wśród jej znajomych zaczęły się o niej szerzyć plotki, które w wysokim stopniu sławie jej szkodziły.

Niech to będzie przestrogą dla tych, którzy swych długich języków za zębami trzymać nie umieją, ale przy każdej sposobności je rozpuszczają, aby bliźniego oczernić. Płotkarzy i plotkarek mamy sporo; ludzie rozsądni i uczciwi powinni im to rzemiosło obrzydzić.

Odstrasżający przykład złości. Galenus, jeden z nejsławniejszych lekarzy starożytności, opowiada, że będąc jeszcze dzie-

kiem, widział pewnego razu człowieka, który nie mogąc odrazu kluczem drzwi otworzyć, w taką wpadł złość, że nogami bił we drzwi, poten pięściami groził w niebo i okropnie przeklinał. Widok ten zrobił na Galena takie wrażenie i taki w nim wywołał wstręt do gniewu, że już w całym życiu nie dał się unieść tą namiętnością.

Umarły uciekł. Policję francuską zajmuje niezwykle fakt. Żyje sobie w Paryżu, czy też obecnie gdzieindziej, niejaki Billotet, przestępca kryminalny. Aresztowany, uciekł przez okno z urzędu policyjnego, ale przytem zranił się, został schwytany i umieszczony w „Hotel Dieu“. Wyzdrowiał, ale tymczasem, niewiadomo kto i jakim sposobem stwierdził urzędownie, że Billotet umarł. Nieżyjący złochnica uciekł jednak po raz drugi — tym razem aresztowany za opór okazany policji, z więzienia policyjnego — uciekł tak samo przez okno, ale nadwyrężył sobie nogę i znów go schwytano. Odłożono jego sprawę — rzecz działa się 30 czerwca — do 8 lipca. Ale, o dziwo! Prezes izby sądowej stwierdził jednocześnie, że sprawa Billoteta, jako umarłego musi być umorzona, ponieważ na jego aktach napisano „zmarł“. I sprawę umorzono. Jednakże „żywy nieboszczyk“, umieszczony znowu w „Hotel Dieu“, gdzie go zapisano, jako że „złamał nogę“, zachował się tak uprzedzająco grzecznie, taki był miły, że przestano go tak surowo pilnować, a kochanka jego przyniosła mu spodnie i kamizelkę, jakich używają malarze. Ponieważ zaś właśnie pracowano w „Hotel Dieu“ nad upiększeniem ścian malowidłami, więc Billotet, z garnkiem farby w ręku, wymknął się przez otwartą bramę — i tyle go widziano. Kiedy się wydało, że Billotet żyje i że uciekł, w policji nastąpiły różne zabawne sceny, zaczęto poszukiwać „umarłego“, który już jednak zdążył zatrzeć za sobą wszelkie ślady. Gaz. „Matin“ ogłasza powyższą sprawę jako krytykę sprawności policji paryskiej.

Pomnik dla pierwszego człowieka. Dzi-

wny człowiek w Baltimore, John P. Brady, postanowił wystawić pomnik pierwszemu człowiekowi świata. Roku 1909 podłożony został też rzeczywiście kamień węgielny pod pomnik protoplasty Adama. Dziś ten osobliwy i jedyny na świecie pomnik jest już ukończony. Dziennik „Strand Magazine“ podaje opis dziwnego monumetu. Według tego opisu podstawę pomnika tworzy dwuwieżowa skała, schodząca się u góry. Skała ta zupełnie nie jest obrobiona. Na szczycie skały ustawiony jest trójkąt z brązu, zwrócony swym szczytem ku wschodowi. Na frontowej stronie pomnika znajduje się napis: „Na pamiątkę Adama, pierwszego człowieka“. W środku cokołu zaś, na którym wznosi się trójkąt, znajduje się wyryte odwieczne motto: Sic transit gloria mundi. Osobliwy ten pomnik stoi w parku House, na przedmieściu Baltimore, gdzie mieszka i szczególny ofiarodawca pomnika Brady. Na wiele zapytań, dlaczego przyszedł pan Brady na myśl wystawienia pierwszemu człowiekowi pomnika, odpowiada on stale, iż jeśli tylu wątpliwej wartości ludzi uznaje świat za godnych pomnika, to tem bardziej należy się ten pomnik pierwszemu człowiekowi ziemi, protodłascie całego rodu ludzkiego, Adamowi. Pan Brady dodaje nie bez racji: Adam był jedynym człowiekiem, którego życie wywarło nieograniczony ani niezmniejszony wpływ na życie całej ludzkości. Po prostu dlatego należy się uczynić coś dla pamięci naszego praojca.

Fraszki.

Leniuch.

— Słuchaj Józefie, nasz kolega Piotr chodzi przez całą noc po pokoju, aby nie zasnąć. — Dlaczegoż to? — Bo śniło mu się niedawno, że jakąś mozolną pracę wykonywał i od tego czasu boi się położyć do łóżka.

Szczerość.

Gość w restauracyi: — Chciałbym dziś zjeść coś dobrego. — K e l n e r (po cichu): Poczekaj pan trochę, za godzinę mam czas wolny, to pana zaprowadzę do innej restauracyi.

Dla proporcji.

R e k r u t: — Panie wachmistrzu, te pantalone są na mnie za ciasne. — W a c h m i s t r z: To nieprawda. (do kucharza:) Odtąd dawać tylko pół porcyi jedzenia temu rekrutowi.

Porada.

— Panie doktorze, wypilem przez omyłkę, truciznę, zamiast wódki; co mam teraz zrobić? — Napisz pan testament.

Kłopotliwe pytanie.

Zapłakany Grześ wraca ze szkoły do domu. Na pytanie troskliwej matki, rzecze: — Pan nauczyciel mnie wybił! — Za co? — Bo nie umiałem mu odpowiedzieć na pytanie. — A jakież to było pytanie? — On pytał, dlaczego wetknąłem szpilkę do jego krzesła.

Kto pożałowania godniejszy.

Kat prowadzi skazanego na szubienicę. Czas szkaradny, deszcz leje jak z cebra. — Co za słota przebrzydła! — mówi z jękiem skazany. Na to kat: — Ty jeszcze narzekasz! Wszak ty już tam zostaniesz a ja jeszcze muszę raz iść tą drogą z powrotem!

Niestuszne podejrzenie.

— Czego płaczesz? — pyta pokojówki, wracający do domu gospodarz, — Pani mówi, że ukradłam 12 łyżek! — A to nie jest prawda? — O nie, bo już dawno jednej do tuzina brakowało.

Ze stali.

Cyrulik goli wieśniaka brzytwą nieco tępą. Ten znosi to długo, wreszcie pyta: —

Z czego jest wyrobiona ta brzytwa? — Ze stali. — No, teraz rozumiem, dlaczego mi w oczach iskry latają.

Z konieczności.

— Ty mężusiu, masz bardzo zły zwyczaj, bo mówisz przez sen. — Cóż mam robić moja miła, przecież w dzień nie mogę nic powiedzieć, bo ty ciągle gadasz.

Kredyt.

— Za buty zapłacę panu dopiero za 3 miesiące. Chętnie przystaję na ten warunek. — A kiedyż te buty będą gotowe? — Także za 3 miesiące.

Dwoj brzydale.

Pan Szpetnicki wygląda oknem ze swego mieszkania. Ulicą idzie pan Szkaradowski i rzecze: — Dzień dobry panie Szpetnicki! — Dzieńdobry, panie Szkaradowski! — Dlaczego pan psujesz piękność ulicy, wystawiając na widok swą obmierzłą twarz? Lepiejbyś pan zrobił, chowając się w kącie pokoju, a sadzając w oknie, swoją małpę. — Już próbowałem to robić, ale wtedy przechodzący ludzie, pozdrawiali małpę w oknie, wołając: — „Dzień dobry mości Szkaradowski!”

Zagadka.

Pierwsze oznaczają część jedną całości.
Drugie, choć światła drobnych moc przy-
[nosi,
Zmusza, by światłem rozproszyć ciemności.
Całość połowę onej drugiej głosi.

Znaczenie zagadki z nru 5-go „Niewiasty“:

Do-li-na.

Wydawca i redaktor naczelny: Jan Zamorski, redaktor odpowiedzialny: Alfred Sikorski w Bielsku.
Drukarnia p. f. K. Studenckiego, własność Spółki w Białej.